

BEUKES: POTWORY NIE ISTNIEJĄ, JESTEŚMY TYLKO MY

NOWA Fantastyka

09 (384) 2014 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)

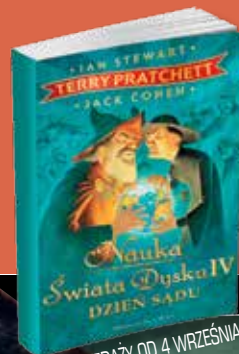
ISSN 0867-132X



INDEKS 358398

PRÓSZYŃSKI
MEDIA

WWW.FANTASTYKA.PL



W SPRZEDAŻY OD 4 WRZEŚNIA

Proza

WATTS

KAIN

Gütsche

Podlewski

Jones

Bailey

FANTASTYCZNY ŚWIAT

INDIE

PRAWDA
O LUDZKIM MÓZGU

MORSKIE

OPOWIEŚCI

PIRACI W FANTASTYCE

"Pirates of the Caribbean: On Stranger Tides", © Disney, All Rights Reserved.



04

Chyba każdy w dzieciństwie chciał być piratem. Ale co to za frajda być zwyczajnym piratem, jeśli można być kosmicznym piratem! Albo piratem zombie! Albo piratem, który potrafi wstrzymać oddech na dziesięć minut?



08

Często zdarza się, że postęp rodzi się wpięć w umysłach twórców SF, aby po latach zagościć w laboratoriach naukowych. A co jeśli w dziełach tego typu pojawia się stuletni regres w stosunku do aktualnej wiedzy?



10

Lubimy usprawiedliwienia, chcemy wierzyć w potwory. W rzeczywistości potwory nie istnieją, jesteśmy tylko my. Przypadek, który czuje mordercę w powieści, wynika z niego samego. Od samego początku po sam koniec.



65

Przepowiednie na rok 1914 nie wyglądały źle; czterdzieści dni upałów w lecie, doskonałe połowy karpi. Zapowiadana wojna nie nadeszła i jasnowidze dali sobie z nią spokój. Rzeczywistość miała jednak inne plany.

PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 ZASTRZYK PRZYSZŁOŚCI *Mateusz Wielgosz*
- 4 MORSKIE OPOWIEŚCI *Andrzej Kaczmarczyk*
- 8 90 PROCENT BEZMYŚLNOŚCI *Bartłomiej Urbański*
- 10 POTWORY NIE ISTNIEJĄ... Wywiad z *Lauren Beukes*
- 14 FANTASTYCZNY ŚWIAT: INDIE CZ. 1 *Marek Grzywacz*
- 63 CENZOR, TWÓJ BRAT CZ. 3 *Maciej Parowski*
- 65 I WOJNA ŚWIATOWA Z LAMUSA *Agnieszka Haska, Jerzy Stachowicz*
- 72 KASTA SOCJOPATÓW *Rafał Kosik*
- 73 ŚMIERĆ SZAKALA *Robert Ziębiński*
- 78 WIELKIE WYCZEPIENIE *Łukasz Orbitowski*

PROZA POLSKA

- 17 DOBRANOC, PIMKY LIMKY *Marcin Podlewski*
- 29 MATKI NA PRZEMIAŁ *Dawid Kain*
- 33 DRUCIARA *Alexander Gütsche*

PROZA ZAGRANICZNA

- 40 ROZDZIAŁ SZÓSTY *Stephen Graham Jones*
- 44 OLBRYMY *Peter Watts*
- 53 KONIEC KOŃCA WSZYSTKIEGO *Dale Bailey*

RECENZJE

- 67 KSIĄŻKI 74 FILM 75 DVD 76 KOMIKS



fot. J. Luthas

WYŚCIG Z CZASEM

Ray Kurzweil, amerykański naukowiec i futurolog znany z trafności swych prognoz, ocenia, że w 2045 roku postęp technologiczny umożliwi ludzkości osiągnięcie nieśmiertelności. Na pierwszy rzut oka wygląda to obiecująco – po głębszym zastanowieniu już niekoniecznie. Dlaczego? Po pierwsze: przez te trzy dekady ludzkość czeka wyścig z czasem. Musimy uporać się z globalnymi zmianami klimatu i gwałtownie kurczącymi się zasobami naturalnymi. Narastające przeludnienie (według kalkulacji w 2045 będzie nas już 9,31 miliarda), w połączeniu z szybkim postępem automatyzacji, który powoduje gwałtowną redukcję zatrudnienia, sprawia, że zapas istniejącego porządku ekonomicznego wydaje się nieuchronna. Jeśli nie powstanie alternatywny model ekonomii, uwzględniający brak zapotrzebowania na ludzką pracę i konieczność zaspokojenia naszych podstawowych potrzeb, dojdzie do światowej rewolucji. Dodajmy do tego narastające konflikty i wszelkie podnoszące tony ekstremizmy, a widać od razu, że siedzimy na beczce prochu z odpalonym lontem. Czy dostatecznie długim, żebyśmy zdążyli przed wybuchem?

Jest jeszcze po drugie. Trudno liczyć na to, że owa nieśmiertelność – nanotechnologiczna, medyczna, wirtualna czy dowolna inna – będzie powszechnie osiągalna. Stanie się ona raczej, przynajmniej na początku, domeną wybrańców, którzy uzyskają do niej dostęp. A ponieważ na przestrzeni tysięcy lat żadna technologia nie zmieniła ludzkiej natury, wcale nie jest powiedziane, że zechcą oni dzielić się zdobyczą z resztą ludzkości. Nieśmiertelność można będzie kupić za grubą pieniądze albo trzeba będzie na nią w taki czy inny sposób zasłużyć – wybitnym zdolnościami, jedynie słusznymi poglądami itp. Trudno oczekiwać, że reszta ludzkości ucieszy się z takiego stanu rzeczy. I tak oto, na sam koniec, nauczymy się unicestwiać nieśmiertelnych.

Zapraszam do lektury!

Jerzy Rzymowski

P.S. Felietony Petera Watts'a wrócą na łamy „NF” za kilka miesięcy.

W NASTĘPNYM NUMERZE:

Jason Sanford
Anioły sublimacji
 Sebastian Uznański
Nawet cienie będą szeptać

FANTASTYKA WYDANIE SPECJALNE 4/2014
OD 16 PAŹDZIERNIKA



MORSKIE OPOWIEŚCI

ANDRZEJ KACZMARCZYK

CHYBA KAŻDY W DZIECIŃSTWIE CHCIAŁ BYĆ PIRATEM. ALE CO TO ZA FRAJDA BYĆ ZWYCZAJNYM PIRATEM, JEŚLI MOŻNA BYĆ KOSMICZNYM PIRATEM! ALBO PIRATEM ZOMBIE! ALBO PIRATEM, KTÓRY POTRAFI WSTRZYMAĆ ODDECH NA DZIESIĘĆ MINUT?

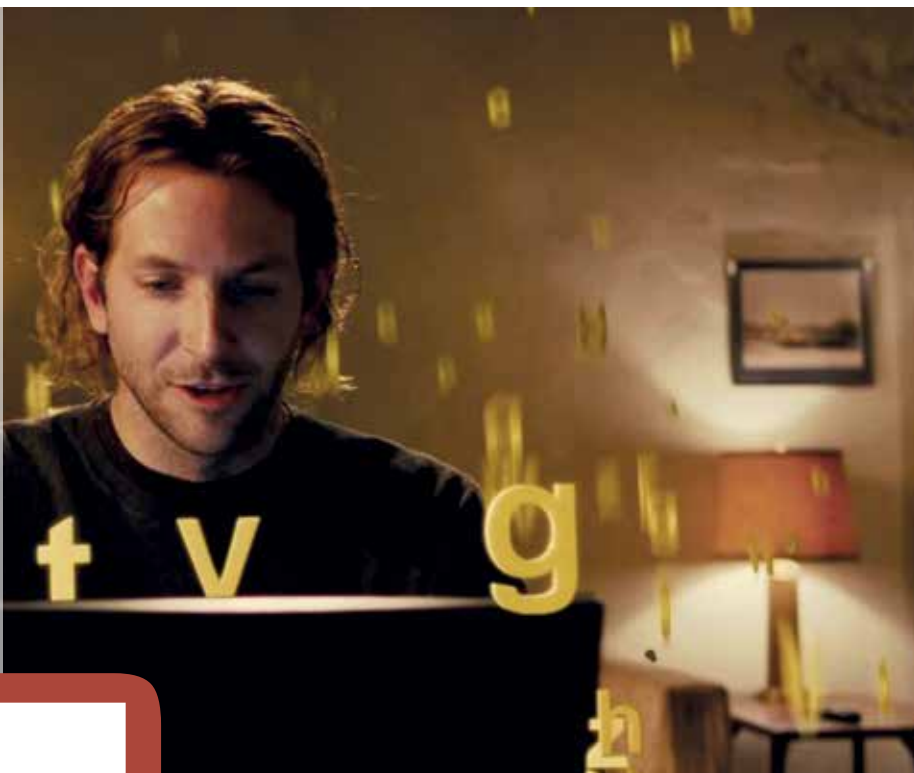


Wszelkiej maści korsarze, bukanierzy i piraci to bardzo wdzięczny temat dla fantastyki. W końcu skoro można było na liczne sposoby wymieszać fantastykę z westernem, skoro Sherlock Holmes mógł stawić czoła Drakuli, to jak można by nie pokusić się o dorzucenie do pirackiej przygody odrobiny magii voodoo, kilku duchów albo jednego czy dwóch statków kosmicznych? Jakie fikcyjne uniwersum byłoby kompletne bez piratów? Od korsarzy z Umbaru u Tolkiena, po startrekowych piratów z Orionu – praktycznie nie możemy bez nich żyć.

OKRUTNIE, ALE NA NIBY

Wśród niezliczonych fantastycznych wilków morskich jest jeden, który przyćmiewa sławą wszystkich. Postać znana wszystkim niemal od kołyski, tak klasyczna, tak oczywista, że w pierwszej chwili można by niemal o nim zapomnieć, mając świeżo w pamięci wszystkich piratów z Karaibów czy inne kreda asasynów spod czarnej bandery. Ale to on był jedynym człowiekiem, którego bali się Sinobrody i kapitan Cook. To pierwszy wśród piratów pierwszego fantastycznego świata, jaki odwiedzamy jeszcze jako dzieci.

DAWNIEJ
MIELIŚMY WYŚCIG
ZBROJEŃ. TERAZ
NASTAŁ WYŚCIG
W ULEPSZANIU
CZŁOWIEKA,
A NAJWIĘKSZA
BATALIA TOCZY SIĘ
O MÓZG.



90 PROCENT BEZMYŚLNOŚCI

BARTŁOMIEJ URBAŃSKI

Kto z nas nie chciałby mieć lepszej pamięci, być bardziej kreatywnym i efektywnym w pracy? Często zdaje się, że nowe, postępowe technologie rodzą się w pierw w umysłach twórców SF, aby po latach zagościć w laboratoriach naukowych, a później w naszych domach. Lecz co jeśli w dziełach tego typu pojawia się stuletni regres w stosunku do aktualnej wiedzy?

Odkąd nastała moda na badanie mózgu, a naukowcy zrozumieli, jaki drzemie w nim potencjał, prześcigano się w pomysłach, jak sprawić, by działał jeszcze lepiej. Powszechne jest przekonanie, że wykorzystujemy jedynie 10% naszego mózgu, więc czy rzecz może tkwić w tym, aby uruchomić pozostałe 90%?

Istnieje wiele metod, które mają usprawnić funkcje psychiczne – począwszy od najzwyklejszej kawy, przez popularne wśród studentów podczas sesji substancje psychostymulujące, aż po leki nootropowe. Naukowcy pracują również nad metodami elektrycznej i magnetycznej stymulacji mózgu. Poza koncertami farmaceutycznymi, przede wszystkim wojsko poświęca szczególną uwagę środkom, które mogą poprawić działanie żołnierzy w trudnych

warunkach. Mają one również znaczenie dla osób pracujących w ogromnym stresie i na bardzo drogim oraz wymagającym specjalnego wyszkolenia sprzęcie, np. pilotów, operatorów dronów czy chirurgów.

Jednak aby coś polepszyć, trzeba wiedzieć, co jest nie tak lub gdzie drzemia niewykorzystywane możliwości. Kofeina w kawie blokuje receptor adenylozy, która na co dzień ogranicza aktywność naszych komórek nerwowych i rozszerza naczynia krwionośne. Wpływ amfetaminy jest związany z działaniem na układ neuroprzekazników – dopaminy i norepinefryny. Można też znać efekt, ale nie do końca wiedzieć, jak zostaje osiągnięty. Taka sytuacja ma miejsce w przypadku wielu leków nootropowych.

To tylko wierzchołek góry pomysłów, nad którymi pracują naukowcy. Niestety, żaden nie odnosi się do mitu o wykorzystaniu jedynie 10% mózgu.

10% KREATYWNOSCI

Motyw ludzi z ulepszonymi funkcjami psychicznymi jest obecny również w literaturze i filmie, głównie SF, ale już nie tylko, bo wiedza o „mózgowspomagaczach” na tyle przesączyła się do powszechnej

świadomości, że podobne wątki odnajdujemy choćby we współczesnych thrillerach. Przykładem jest film „Jestem bogiem” nad podstawie powieści „Dawka geniuszu” Alana Glynna, gdzie główny bohater pod wpływem środka NZT przechodzi wewnętrzną przemianę – potrafi nauczyć się nowego języka w kilka godzin, napisać książkę w kilka dni, a do tego robi karierę na giełdzie, wymyśla nowe sposoby leczenia chorób, nawet walczy wykorzystując sztuki walki podpatrzane na filmach. Wszystko bez najmniejszego wysiłku.

O ile w „Jestem bogiem” o 10% mózgu mówi zwykły dealer narkotykowy, to już w filmie „Lucy” Luca Bessona absolutnie nie. Tytułowa Lucy, grana przez Scarlett Johansson, zostaje zmuszona do przemiany w swoim ciele narkotyku. Gdy opakowanie zaczyna przeciekać, a substancja przedostaje się do organizmu, bohaterka uwalnia możliwości swojego mózgu, włącznie z telekinezą. Lucy nawiązuje kontakt z profesorem Normanem, granym przez Morgana Freemana, który bzdurę o 10% mózgu wyklada studentom. Nie można tu mówić o niewiedzy przeciętnego człowieka, bo mamy do czynienia z bohaterem, który jest ekspertem i pracownikiem akademickim.

POTWORY NIE ISTNIEJĄ, JESTEŚMY T

WYWIAD Z LAUREN BEUKES

Tymoteusz Wronka: Wszystkie twoje dotychczasowe powieści są silnie zaangażowane społecznie, skoncentrowane na tu i teraz. Fantastyka jest dla ciebie narzędziem, a nie celem?

Lauren Beukes: Zdecydowanie tak. Fantastyka powinna służyć opisywaniu rzeczywistości, dostarczaniu świeżego spojrzenia. W codziennym życiu bardzo łatwo jest nie zauważać lub po prostu nie zwracać uwagi na pewne rzeczy. Pokazując to samo z innej – w tym wypadku fantastycznej – perspektywy, można uwypuklić kwestie, których nie dostrzegamy, a mamy je cały czas przed oczami.

TW: Czy historia i obecna sytuacja w RPA stanowią dla ciebie inspirację? Innymi słowy: jak realny jest obraz twojego kraju w powieściach „Zoo City” i „Moxyland”?

LB: Bardzo realny. Oczywiście pierwsza to urban fantasy, a akcja drugiej toczy się w przyszłości, więc obraz ten jest przekształcony, ale w wielu szczegółach wierny. W „Zoo City” wizja Johannesburga jest bardzo bliska temu, jakie naprawdę jest to miasto i czego można się po nim spodziewać; jedyna zmiana to nałożona przeze mnie warstwa magiczna. Pracowałam przez pewien czas jako dziennikarka i bardzo podobala mi się praca ze źródłami; research sprawia mi dużą przyjemność. Wyniosłam z tej pracy przekonanie, że prawdziwy świat jest bardziej interesujący i zaskakujący niż to, co może zrodzić się w wyobraźni. Uważam, że przy pisaniu fantastyki konieczne są swego rodzaju kotwice: punkty, w których historia nie z tego świata nawiązuje do rzeczywistości. Bez tych punktów wspólnych będzie to tylko banalna historia. U mnie kotwicą są realia świata, dlatego staram się, by były jak najwierniej przedstawione.

TW: Z twoich powieści wylania się przerażający obraz RPA, pełen okrucieństwa i przemocy.

LB: Niestety, taka jest prawda. Odsetek morderstw – szczególnie kobiet – jest zatrważający. Na pewno słyszałeś o sprawie Oscara Pistoriusa i śmierci Reevy Steenkamp, a to tylko wierzchołek góry lodowej. O nich jest głośno, bo byli sławni już wcześniej – ona piękna i inteligentna, on niepełnosprawny sportowiec. Media kochają takie historie. Nie przebija się natomiast do nich mnóstwo strasznych rzeczy, które dzieją się w mojej ojczyźnie każdego dnia. Jest dla mnie ważne nagłośnienie tej sprawy, ale

także pokazanie, czym tak naprawdę jest przemoc i co czyni z ludzi. W popkulturze panuje moda na otaczanie zbrodni pewnym romantycznym czarem, niemal splendorem. Chcę pokazać jej prawdziwe, straszne oblicze: bez blasku i prób usprawiedliwiania czy gloryfikowania.

TW: Podążasz więc tą samą drogą, co Neill Blomkamp w „Dystrykcie 9” i za pomocą fantastycznych fabuł pokazujesz prawdziwe oblicze swojego kraju?

LB: Poniekąd tak, chociaż inaczej kładziemy akcenty i używamy innych narzędzi. Rany w tkance społecznej leczą się bardzo długo. W tym roku obchodzimy dwudziestą rocznicę wprowadzenia demokracji w RPA, a rok wcześniej Mandela i de Klerk odebrali pokojową nagrodę Nobla. To jedno pokolenie – przez ten czas nie da się naprawić krzywd powstałych przez lata apartheidu. Większość społeczeństwa podlegała opresjom, nie miała dostępu do edukacji itp. Nie można oczekiwać, że ich dzieci przeskoczą tę przepaść od razu. To zajmie dekady. Na razie jesteśmy w pół drogi. Tak jak pokazuję to w książkach: wraz z rosnącą świadomością

pojawia się frustracja, a nowe możliwości muszą iść w parze ze wzrostem odpowiedzialności.

TW: Mówisz, że starasz się otworzyć oczy czytelnikom na sprawy dotyczące się dookoła nas. Wierzysz, że opowieści mogą zmienić świat?

LB: Mogą zmienić sposób myślenia ludzi: może nie wszystkich naraz, ale metodą małych kroków z pewnością. Mam nadzieję, że moja proza właśnie tak działa, pozwala ludziom spojrzeć na znany temat z innej perspektywy. Nie mam pojęcia, czy to w jakikolwiek sposób przełoży się na realny świat, chociaż chcę w to wierzyć. Opowieści na pewno zwiększają empatię, umiejętność zrozumienia argumentów innych. Dzięki nim można dostrzec kontekst, a to naprawdę ważne. Na przykład ostatnio w RPA zmienił się sposób mówienia o ofiarach. To już nie są bezosobowe ciała, ale przedstawia się kim były za życia, komu będzie ich brakować. Być może stało się to na skutek mojej prozy, ale równie możliwe jest to, że podświadomie wyczułam początki zmiany i o tym napisałam. Kilku innych autorów w tym samym czasie także zaczęło interesować się tą tematyką.





FANTASTYCZNY ŚWIAT — INDIE

CZĘŚĆ 1

MAREK GRZYWACZ

INDYJSKA LITERATURA TO CZĘSTO NIEZNANA ZIEMIA NAWET DLA ODBIORCÓW BARDZIEJ ŚWIADOMYCH TEJ KULTURY, A INDYJSKIE SCIENCE FICTION W WERSJI LITERACKIEJ MOŻE BYĆ SZCZEGÓLNIIE TRUDNE DO ODNALEZIENIA.

to nie tylko dla zewnętrznego obserwatora – wielu lokalnych fantastów przyznaje, że informacje o dokonaniach rodaków w tej dziedzinie zebrać bardzo ciężko. Przyczyn jest kilka.

SF W ROZDROBNIENIU

Najważniejsza to bogactwo języków. Indie posiadają dwa języki „administracyjne”, dwadzieścia jeden prawnie uznanych i urzędowych w poszczególnych stanach, a ogólnie, w zależności od źródeł, od około stu do prawie ośmiuset. Choć najłatwiej jest dostrzec to pisane w językach oficjalnych – hinduskim i angielskim – katalog SF tworzonego w innych jest równie zasobny. „**The Encyclopaedia Of Indian Literature**”, kompendium wydane przez instytucję promocji literatury Sahitya Akademi, wymienia po kilku wyróżniających się autorów SF tworzących w każdym z największych języków regionalnych. Nawet w tak ubogich jeżeli chodzi o fantastykę językach jak urdu (w Pakistanie, gdzie szeroko się go używa, niemal ona nie istnieje) znajdziemy w Indiach prominentnego twórcę – **Izhara Asara**, który pierwszą powieść SF o żywej maszynie buntującej się przeciw niemoralnym rozkazom ludzi, „*Adhi Zidangi*”, opublikował w 1955, a do śmierci w 2011 napisał ponad 50 książek w nurcie (także po hindusku, pod pseudonimami).

Mnogość języków – a tłumaczenia na któryś z oficjalnych nie są częste – przyczynia się do regionalizacji literatury i sprawia, że należałoby mówić nie o fantastyce indyjskiej, a fantastykach indyjskich. Inne czynniki utrudniające egzystencję SF w Indiach mocno się z tym łączą. Brak przede wszystkim szerzej zakrojonego ruchu literatów czy fanów, a te zauważalne są ograniczone terytorialnie bądź do konkretnej grupy – najczęściej środowisk naukowych. Szwankuje też wydawanie i promocja. W Indiach nie przykładano się do niedawna przesadnej wagi do klasyfikacji gatunkowej prozy; dziś zmienia to nacisk rynku. Ponadto zamożniejsza część społeczeństwa, główni odbiorcy

prozy (z uwagi na ubóstwo oraz analfabetyzm, który wciąż dotyczy prawie 30% ponad miliardowej populacji kraju), postuguje się sprawnie angielszczyzną i sięga prędzej po zachodnie hity niż miejscowych autorów. Jednak mimo trudności, fantastyka indyjska ma bogatą historię sięgającą końca XIX wieku.

FANTASTYKA ŁĄDUJE W BENGALU

Korzeni fantastyki indyjskiej można szukać w tradycji, zwłaszcza w mitologicznych eposach „*Ramajanie*” oraz „*Mahabharacie*”, w której dziwnych ideach (jak hodowanie dzieci w słoikach) czy latających rydwanach (*vimanach*) wielu doszukuje się pierwiastka SF (bądź dowodu na istnienie kosmitów). Z całą pewnością fantastykę zaszczerpiła w Indiach obecność kultury brytyjskiej (czemu sprzyjała urbanizacja i pojawianie się najnowszych wynalazków z Zachodu). Brytyjczycy przynieśli z Europy dzieła Juliusza Verne’a oraz H.G. Wellsa. Tłumaczenia klasyków, publikowane w formie gazetowych seriali, pojawiły się w kilku językach.

Indyjskie SF narodziło się w Bengalu. Ów północno-wschodni region był wtedy centrum przemian kulturowych związanych z szeroką recepcją dorobku cywilizacji zachodniej (tzw. renesans bengalski). Najwcześniejszą książką były „*Podróże na Wenus*” („*Shukra Bhraman*”, 1879) napisane przez **Jagadananadę Roya**, eseistę związanego z poetą-noblistą Rabindranathem Tagore. Opisowała ona ekspedycję na rzeczoną planetę i małpopodobnych, dzikich obcych pochodzących z Urana (inspiracją były teorie Darwina).

Inni prekursorzy SF też wywodzili się z intelektualnych elit Kalkuty – jak **Jagadish Chandra Bose**, fizyk i wynalazca jednej z wczesnych wersji radia, który literacko wstawił się „*Uciekającym cyklonem*” („*Palatak Toofan*”) z 1896 roku. Najbardziej znana wersja tekstu wygrała konkurs na opowiadanie reklamujące... markowy olej do włosów. Zagadka znikającej burzy, nad którą głowi się w opowiadaniu brytyjski rząd, okazuje się mieć rozwiązanie w przypadkowym wylaniu tegoż preparatu do morza przez marynarza. Obok elementu marketingowego tekst zawiera naukowe wyjaśnienie

zjawiska kondensacji i ironiczne prztyczki w stronę Brytyjczyków.

Kolejną postacią był porównywany do Lewisa Carolla **Sukumar Ray**, innowator bengalskiej literatury dziecięcej. Jego „*Pamiętnik Heshorama Hushiera*” („*Heshoram Hushiyaarer Diary*”) z 1922 roku to parodia „*Zaginionego Świata*” Artura Conana Doyle’a, w której Ray, ukazując podróż do pełnej dziwnych stworów enklawy w górach Karakorum, dworuje sobie ze zwyczajów naukowców, np. nadając swoim dinozaurom miana komicznie wtlaczające bengalskie słowa w taksonomie łacińską.

Mówiąc o Bengalu nie sposób pominąć wkładu **Roqui Sakhawat Hussain**, nauczycielki i legendarnej działaczki na rzecz praw kobiet. W 1905 roku w czasopiśmie „*The Indian Ladies’ Magazine*” ukazało się jej anglojęzyczne opowiadanie „*Sultana’s Dream*”. Traktowało ono o podróży do alternatywnej rzeczywistości, w której kobiety władęły Kalkutą, a mężczyźni poddano ograniczeniom domowego rygoru (odwrotność muzułmańskich obyczajów). Państwo pań okazało się pokojową utopią, zasilaną takimi wynalazkami jak balon dostarczający mieszkańcom wodę prosto z atmosfery. Działalność wybitnych pisarzy, kontynuowana w latach 20. i 30. przez autora przygodowej SF i grozy **Hemendrę Kumara Roya** oraz **Premendrę Mitrę** – twórcę popularnej serii o Ghanadzie mieszkającej lekki kryminał, fantastykę oraz przygodę – sprawiła że SF, określone później miejscowym terminem *kalpabigyan* i najczęściej podszyte satyrą, zyskało ważne miejsce w literaturze bengalskiej.

Niektóre części Indii nie pozostawały w tyle za Bengalem. W języku hinduskim SF pojawiło się już w 1884 roku – wtedy to czasopismo „*Piyush Pravah*”, wydawane w centralnym regionie (dziś stanie) Madhya Pradesh, rozpoczęło publikację noweli doświadczonego literata **Ambiki Datta Vyasa**. „*Niesamowita Opowieść*” („*Aascharya Vrittant*”) wyraźnie zainspirował Verne i jego „*Podróż do wnętrza Ziemi*”, bo traktowała właśnie o podziemnych wozach niejakiego Gopinathy. Większość pierwotnego hinduskiego SF wypuszczali właśnie pisarze uprawiający na co dzień literaturę piękną, w pismach jej poświęconych (jak magazyn „*Saraswati*”, pierwszy hinduski pe-

DOBRANOC, PIMKY LIMKY

MARCIN PODLEWSKI

wszystkim Tatusiom

I

Stróż wyjął z kieszeni wielki, mosiężny klucz i włożył go do wiszącej na bramie kłódki. Dzieci wstrzymały oddech. To był ten jeden, magiczny moment: wystarczyło przekręcić, by z kłódki rozległa się drgająca dzwoneczkami melodyjka. Stróż, tak jak tysiące razy wcześniej, odwrócił się i spojrzał na zafascynowane maluchy. Wpatrywały się w niego jak w obraz. Nie widziały już kłódki, klucza czy wysokiej na trzy metry, fantastycznie oplecionej winoroślą bramy. Teraz to on był najważniejszy i świetnie o tym wiedział.

– Otwieramy? Otwieramy? Czy zamykać znowu mamy? – spytał. Nowe dzieciaki, nieznające jeszcze rytuału, pokiwały głowami, ale starsze zaczęły cicho skandować: „Otwieramy, otwieramy i już nic nie zamykamy”.

Stróż uśmiechnął się i przekręcił klucz. Teraz wystarczyło tylko zaczekać, aż mechanizm wydzwoni swoją melodię. Dzieciaki słuchały jej jak zaczarowane. Znały ją bardzo dobrze: z własnych pluszowych kłódek, pozytywek i piszczących ją Durtibibów. Ale ta była prawdziwa i dobywała się z prawdziwej kłódki, wiszącej na prawdziwej bramie do prawdziwego Ogrodu. A kiedy się skończyła, Stróż cofnął się i stanął obok otwierającego się szeroko wejścia.

Zapachniało wanilią. Plumpa Ba i Plumpa Be, uczepione dwóch rozłożystych Drzew rosnących przy Niebieskiej Dróżce, zaburczały i syknęły płatkami kwitnącej wiśni. Dzieciaki nawet nie spojrzały. Gnały już do przodu, mijając sadzawkę Węża Yp, pluszowate konstrukcje Durtibibów i Miasteczko Lokomotywy. Biegły w kierunku płytkiej rzeczki i położonej nad nią szerokiej kładki. Wprost do okrągłego domku z fioletowym kominem, z którego zawsze wydobywały się srebrzyste chmurki.

– Pimky Limky! – krzyczały. – Pimky Limky hoc, hoc, hoc!
– Ooo – dobiegł je tubalny głos wszechobecnego Lektora. – Gdzie jest Pimky Limky? Gdzie jest Pinky Limky? Hoc, hoc, hoc?
– Pimky Limky!

– Ooo, tu jest Pimky Limky! – grzmiał Lektor. – Pimky Limky wychodzi z domku. Dzień dobry, Pimky Limky!

Zaterkotało i drzwi domku otworzyły się na oścież. Dzieciaki krzyknęły, ale nikt nie wyszedł.

– Chodź do nas, Pimky Limky – rozkazał Lektor. – Pimky Limky hoc!

Z domku dobiegł jakiś nieokreślony, trzeszczący dźwięk i jakby bolesne westchnienie. A potem, po kolejnym „hoc, hoc, hoc”, na zielony trawniczek wyszła gruba, beżowobłękitna i wielkoucha Pimky Limky. Stała w miejscu, rozglądając się maleńkimi, błękitnymi oczkami, i otworzyła maleńkie, czarne usteczka.

– Pimky Limky! – ucieszył się Lektor. – Hoc, hoc, hoc!

Pimky potrząsnęła niewielką jak na resztę ciała główką i spróbowała podskoczyć. Scenariusz był zawsze taki sam: Pimky zaczynała zwykle tańczyć, podskakując do góry i klaszcząc w swoje grube, czteropalczaste łapki, śpiewając przy tym: „Pimky Limky, Pimky Limky, Pimky Limky hoc, hoc, hoc!”, i wreszcie przewracała się na plecy i turlała po ogródku przed domkiem, piszcząc i pomrukując z uciechy.

– Pimky? – spytała teraz i pokręciła ze smutkiem główką. – Pimky Limky hoc?

– Pimky Limky – potwierdził Lektor. – Pimky Limky hoc, hoc, hoc!

Pimky Limky podskoczyła i straciła równowagę. Zakręciła się, zatrzęsała, przechyliła i walnęła główką o jeden ze stojących przy domku słupków. Dzieci pisnęły, kilka zaczęło pochlipywać, a biedna Pimky usiadła, wciąż lekko zamroczone, i znowu zaczęła ze smutkiem kręcić główką.

– Hoc, hoc, hoc – powiedziała żałośnie i rozłożyła rączki. – Pimky Limky hoc, hoc, hoc...

– Oooo – powiedział po chwili Lektor. – Pinky Limky jest chora. Biedna Pimky Limky. Chora Pimky Limky. Nie hoc, hoc, hoc...

Stróż już nadchodził. Wyminął dzieciaki i nachylił się nad Pimky, teatralnie głaszcząc ją po główce. Była, jak zauważył, spocona. Na skórze pojawiła się różowawa wydzielina.

– Pimky Limky? – spytała Pimky. Jej błękitne oczka lśniły od gorącego śluzu. Stróż zerknął w kierunku zamontowanej na drzewie kamery i pokręcił powoli głową.

– Oooo, choora Pimky Limky – odezwał się Lektor. – Wracaj do domku, Pimky Limky. Idź do łóżeczka. Trzeba wziąć lekarstwo. Uuu, niedobre lekarstwo. Idź do łóżeczka! Pimky Limky chora. A to co?

Coś zapiszczało i zabulgotało z południowej części Ogrodu. Dzieci odwróciły głowy.

– Co się tam dzieje? – zaciekawiał się Lektor. – Ojej! Czy to Budi Bum? Czy tam biegnie Budi Bum?! Kto go ni Budi Buma?!

– Budi Bum! – krzyknęły dzieci. – Budi Bum!

– Ojej! – dodał Lektor, ale niepotrzebnie. Dzieciaki pobiegły jak szalone w kierunku tajemniczego hałasu. Po trzech sekundach pod domkiem Pimky Limky została tylko Pimky i towarzyszący jej Stróż.

– Koniec przedstawienia, Pimky – powiedział Stróż i złapał Pimky za łapkę. – Idziemy.

– Pimky Limky hoc, hoc, hoc?

– Raczej nie. Nie ma hoc, hoc, hoc. Macie to? – spytał Stróż w kierunku kamery. – Który barak?

– Szósty – odezwał się Lektor, tym razem tylko z jednego, pobliskiego głośnika.

MATKI NA PRZEMIAŁ

DAWID KAIN

Podobno to wszystko wina naszych matek. Tak przynajmniej powtarzał Edward, mój dawny przyjaciel, a potem zazwyczaj wyskakiwał przez okno, rozpryskując się kilka piętér niżej. Jakby naiwnie liczył, że za którymś razem to w końcu zadziała.

Nigdy nie zadziało. Zawsze odrastał i już po paru minutach znów stał na progu ze skrzywioną miną albo łzami w oczach. Jego łyzy były srebrne. Ściekając na brode, aż lśniły od nano. Czasem wrastały mu w twarz i miał wtedy na policzkach paciorkowate skórne wybrzuszenia, znikające dopiero podczas snu.

Ostatni raz widziałem go trzy lata temu. Wtedy uciekł z Krakowa. Nie mam pojęcia, co od tamtego czasu się z nim działo.

Mam nadzieję, że jednak mu się poszczęściło.

Że znalazł jakiś sposób.

Że nareszcie umarł naprawdę.

Wszyscy ponurzy prorocy minionych dekad grubo się pomylili. Nasze miasta nie zostały wcale obrócone w ruinę. Nasze zasoby naturalne stały się niewyczerpane. Nikt nie musi walczyć o przetrwanie. Mamy wszystko i jesteśmy nieśmiertelni. Osiągnęliśmy to, o czym zawsze marzyliśmy: staliśmy się bogami. Ewolucja nie ma innych szczytów. Jesteśmy koroną stworzenia.

Pozostał tylko jeden problem: innego końca nie będzie.

Samobójcza mania Edwarda natchnęła mnie do pewnej zabawy. Z mieszkania najczęściej wychodzę, skacząc przez okno. Osiem piętér spadania to jedna z tych drobnych przyjemności, których trudno sobie odmówić. Potem jest jeszcze lepiej. Pojawia się ta nietrwałość, lecz niemal wywołująca orgazm ciemność, w której znikasz, gdy twoja czaszka rozpiędała się o chodnik. Albo to kojące odrętwienie, trwające kilka bezcennych sekund paraliż, jeśli uda ci się przeżyć upadek i złamać sobie kręgosłup. Chwila spełnionych marzeń o tym, że jednak nie jesteś wszechmocny.

To jedyne momenty, w których nadzieja odżywa, ale wyłącznie na мгновение, bo zaraz umiera znowu, dokładnie w momencie, w którym zmartwychwstajesz. Odradzasz się, odrastasz, połamane kości znów są nienaruszoną całością, odzyskujesz władanie nad wszystkimi kończynami.

Ulica, której częścią jeszcze przed chwilą byłeś, wydaje się miękką, niestabilną, płynną. Jakby asfalt – jak ty cały – też falował od nano. Jakby atomy szkła i cegiel były tylko wirtualną atrapą. Jakby nic nigdy nie było prawdą.

Odrastam w szybkim tempie, mięśnie i ścięgna momentalnie spływają na bezbłędnie zrekonstruowany szkielet. Wraca nawet ubranie, nie jest pokrwawione i nie jest podarte.

Rozglądam się wokół. Po drugiej stronie ulicy stoi nagi mężczyzna. Zupełnie nie zwrócił uwagi na mój efektowny skok. Nie takie rzeczy widywał. Nie takie rzeczy robił.

Onanizuje się, popijając coś z archaicznej szklanej butelki.

Chichocze nerwowo, w chwili ejakulacji ciska butelką o ścianę kamienicy, gdzie ktoś napisał sprayem „Niech gnije, gnije nam!”.

Nasienie kapie na płyty chodnika, ale musi być pełne nano, bo z każdej połyskującej na betonie kropki od razu wyrastają jakieś przeczące rozsądkowi pseudorośliny: kręte czerwone łodygi, czarne pnącza, sine jak guzy pąki nienazwanych owoców. Po kilku sekundach wędną, rozsypują się w srebrzysty pył i znikają.

Mężczyzna skrzeczy ekstatycznie, a potem znów zaczyna się doić. Jakby liczył, że za którymś razem uda mu się osiągnąć inny efekt. Jakby wierzył, że w tym świecie jakakolwiek zmiana jest możliwa.

Uszkodzone nano. Widywałem już podobne przypadki. Czasem tworzy nieistniejące wcześniej, nietrwałe formy roślinne lub zwierzęce, czasem zaś ludzkie kopie. To podobno ekstremalnie rzadkie, ale zdarza się, że chorym rezultatem onanizmu bądź defekacji jest kilka twoich własnych klonów. Żyją po dwie–trzy godziny, nie więcej. Są z mięsa i kości, oddychają i nawet mrugają. Ale nic innego nie robią, stoją tylko nieruchomo, tępo gapiąc się w pustkę. Później zaczynają się kruszyć i nie trzeba długo czekać, aż jedyną pozostałością ich niedawnego istnienia jest kupka srebrnego popiołu.

Szczęściarze.

– To wszystko wina naszych matek – mawiał Edward, podrażniając sobie gardło, wbijając szpikulec w oczy, celując nożem w tętnice udowe.

Właściwie miał sporo racji. W końcu to matki decydowały, czy będą w czasie ciąży przyjmować szczepienia z pierwszą, eksperymentalną jeszcze partią nano. Wprowadzone przez korporacje rozwiązanie miało uchronić płody przed wszelkimi zagrożeniami okresu prenatalnego. Nie można powiedzieć, żeby w tych zapewnieniach kryło się jakieś kłamstwo. W końcu ani podczas terapii, ani po jej zakończeniu nie zmarło nawet jedno dziecko. Wszyscy bez wyjątku urodziliśmy się zdrowi. Więcej – w ogóle nie mogliśmy zachorować. Krążąca w naszych ciałach technologia natychmiast eliminowała niebezpieczne bakterie, wirusy czy stany zapalne, sklejała pęknięcia i złamania kości, uzupełniała braki witamin oraz minerałów. Nie musieliśmy jeść ani pić, choć oczywiście mogliśmy. Nadmiar tkanki tłuszczowej spalał się automatycznie. Dzieciaki takie jak my nie mogły cierpieć ani na patologiczną otyłość, ani na anoreksję. W ogóle każde nasze cierpienie trwało ledwie chwilę. Z wyjątkiem tego psychicznego. Ono nie mijało nigdy.

Idę znudzony przez krakowski Rynek, wiedząc doskonale, że wygląda dokładnie tak jak na początku wieku, a i za pięćset lat nic się tutaj nie zmieni. To miejsce – wszystkie inne także – jest jak zamrożone w czasie. Gdy ktoś postanowi zdetonować bombę w Sukiennicach, następnego dnia budowla znów będzie tu stała – w dokładnie tym stanie co zawsze.

W naszej rzeczywistości żadna trwała zmiana nie utrzyma się dłużej niż kilka godzin. Można przenosić przedmioty, ale nie można ich niszczyć. Zawsze wracają. Zawsze odrastają, tak jak my wszyscy.

Wędruję opustoszałą Floriańską, zerkając apatycznie na witryny sklepów, w których dalej widać towary sprzedawane tu w trzeciej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku. Nikt oczywiście już nie

DRUCIARA

(Wirehead)

ALEXANDER GÜTSCHKE

mojej matce

Misia budzi się w obcym białym pokoju. Kręci się jej w głowie, ale tak przyjemnie, jak na karuzeli, i dookoła wszystko jest białe i świetliste. Leży w dużym łóżku, a obok na krześle siedzi mama i wpatruje się w nią zaczerwienionymi oczami. Misia mówi „cześć, mamusiu”, a mama zaczyna płakać.

Misi nic nie boli, ale cały czas kręci się jej w głowie i widzi tak jakoś inaczej. Mama zaraz przestaje płakać i Misia prosi o swoją grę, bo chce pobawić się z króliczkiem. Mama wyciąga grę z torebki, ale to nie jest gra Misi, bo króliczek w grze nie pozna Misi i nie wie, że nazywa się Piotruś, i Misia musi nadać mu imię i nauczyć go od nowa wszystkich sztuczek i zabaw.

Uczy go właśnie zabawy w odbijanie piłki, kiedy przyjeżdża tatuś.

– Jak się czuje mój skarbeczek?

– W głowie mi się kręci, tatusiu, i nie mogę złapać piłeczki w grze.

Tatuś patrzy jakoś dziwnie na grę, a później na mamusię.

– Nie powiedziałaś jej?

– Czekałam na ciebie.

Tatuś bierze drugie krzesło, obraca je oparciem do przodu i siada okrakiem, tak jak wtedy, kiedy chce poważnie porozmawiać. Misia znowu przegrywa z króliczkiem i zniechęcona, rzuca grę na koldrę.

– Nie mogę z nim wygrać, tatusiu, piłeczka ciągle przelatuje albo wyżej, albo niżej.

– No właśnie, kochanie, bo widzisz, dlatego jesteś w szpitalu.

– Przez piłeczkę?

– Nie, miałaś wypadek na rowerku, pamiętasz to?

Misia zastanawia się chwilę, potem energicznie kręci głową, świat zaczyna wirować, i Misia śmieje się, i śmiejąc się, przewraca się do tyłu, na poduszkę.

Tatuś uśmiecha się smutno.

– Co ostatnie pamiętasz?

Misia przechyla głowę, zastanawia się, śmiesznie marszczy nos.

– Jak wracałam wczoraj z przedszkola.

– A później?

– Miałymy iść do parku z mamą i ciocią Martą, i Ewką.

Tatuś robi się smutny. Wzdycha i mówi:

– Jak szłyście do parku, to spadłaś z rowerka i uderzyłaś się w głowę. Dlatego nic nie pamiętasz i jesteś w szpitalu, ale wszystko będzie dobrze.

Misia zastanawia się przez chwilę.

– A moja gra? Co się stało z moim króliczkiem?

– Przecież masz tutaj swoją grę z króliczkiem.

– Ale on jest inny, nic nie pamięta. To nie jest mój króliczek.

Tatuś patrzy bezradnie na mamusię.

– Gdzie jest mój króliczek?

Misia zaczyna płakać.

– Jak spadłaś z rowerka, to rozbiłaś swoją grę.

– Czy mój króliczek umarł?

Mamusia przykuca przy łóżku i bierze Misię za rękę.

– Nie, skarbie, tylko gra była rozbita i musieliśmy przenieść twojego Piotrusia do nowej gry, żeby miał gdzie mieszkać, ale tak się przestraszył, że wszystko zapomniał. Musisz mu wszystko opowiedzieć i sobie przypomni, i znowu będziecie przyjaciółmi.

Misia przestaje płakać.

– Na pewno?

– Na pewno, skarbie, obiecuję. – Mamusia całuje Misię w czoło. – Pobawisz się sama chwilę?

– A dokąd idziesz?

– Musimy porozmawiać z panią doktor, zaraz przyjdziemy.

– Na pewno?

– Na pewno.

Misia zostaje sama. Zza drzwi słychać, jak tatuś i mama rozmawiają, ale nie można zrozumieć słów. Misia odkłada grę, bo jest zmęczona. Chyba zasypia.

Budzi ją wejście pani doktor, za panią doktor wchodzi też tatuś i mamusia. Pani doktor ma biały kitel, jest siwa i ma pomarszczoną twarz. W ręce trzyma dużą grę, podobną do tej, na jakiej tatuś czyta wiadomości. Przysiada na łóżku Misi, uśmiecha się i patrzy jej w oczy.

– Jak się czujesz, księżniczko?

– Kręci mi się w głowie i nie mogę wygrać z króliczkiem.

– Pokażesz mi tę grę?

Misia dotyka ekranu, za szybką króliczek wyskakuje ze swojego domku. Misia pokazuje na piłeczkę. Piotruś podrzuca ją na nosie, balansuje kolorową wirującą kulą, odbija ją w kierunku powierzchni ekranu. Misia próbuje odbić piłkę, poruszając grą, ale kolorowa kulka przelatuje obok, z gry dobiega odgłos rozbijanego szkła.

Misia opuszcza grę na kolana, królik marszczy nos i chowa się do swojego domku.

– Znowu mi się nie udało.

– Coś z tym zrobimy – mówi pani doktor.

– Z moim łapaniem piłeczki?

– Tak. Tata powiedział ci już, co się stało?

– Powiedział, że uderzyłam się w głowę.

– Tak, uderzyłaś się w głowę i zrobiłaś sobie krzywdę w oczko.

Dlatego teraz nie możesz złapać piłeczki. Ale włożymy ci nowe oczko i do wesela się zagoi. – Pani doktor się uśmiecha. Misia uśmiecha się, szczęśliwa, że wszystko będzie dobrze. Tatuś też się uśmiecha, i mamusia też. Wszyscy są szczęśliwi, że wszystko będzie dobrze.

Następnego dnia jest sobota, tatuś jest w szpitalu cały dzień, razem z mamusią sadzają Misię na fotelu na takich dużych

ROZDZIAŁ SZÓSTY

(Chapter six)

STEPHEN GRAHAM JONES

Znajdowali się sto trzydzieści kilometrów od obozu – jeśli odległość w ogóle miała jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

Był to pomysł doktora Ormona.

Ormon był opiekunem Craina na doktoracie. Jeśli doktoraty w ogóle miały jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

Prawdopodobnie nie miały.

Zombie. Teraz liczyły się głównie one.

Crain opuścił lornetkę i odwrócił się do doktora Ormona.

- Idą dalej dziewięćdziesiątką piątką – powiedział.

- Po linii najmniejszego oporu – odparł Ormon.

Ubrania, które mieli na sobie, wynieśli z domu o wytłaczanych drzwiach, którego mieszkańcy najprawdopodobniej też zostali wyniesieni.

Włosy doktora Ormona sterczały na wszystkie strony. Szalony profesor.

Crain nosił wełnianą, prążkowaną spódnicę jako narzutkę. Chciał sprawić, żeby jego sylwetka wyglądała mniej ludzko i nie przyciągała tak bardzo uwagi. Doktor Ormon powiedział, że to bez sensu, ponieważ zombie najwyraźniej kierują się wibracjami podłoża; był to jeden z powodów, dla których wołały przebywać w miastach, i dlatego obecnie poruszały się głównie po asfalcie – bo lepiej przewodził drgania.

Crain z szacunkiem wyraził odmienne zdanie. Zombie wcale nie preferowały miast, tylko ich populacja skupiała się w miejscach silnie zaludnionych przed plagą. Po zmarłych – zarówno tych leżących, jak i chodzących – oczekiwano, że pozostaną mniej więcej w tym samym miejscu, w którym umarli, prawda?

Zamiast się spierać, doktor Ormon zakończył tę dyskusję obserwując horde przez lornetkę i zwracając uwagę, że kiedy zombie poruszają się po asfalcie, ich nadejścia nie zdradza chmura pyłu.

Skomplikowane techniki polowania? Prymitywna świadomość istnienia własnego i innych istot?

- Czy słowa „horda” i „stado” można stosować zamiennie? – zapytał Crain.

Zadawał sobie w myślach to pytanie od ostatniego wyjścia.

- Określenia „horda” używamy w kontekście najeźdźców – powiedział doktor Ormon. – Na przykład Mongołów.

- Podczas gdy „stado” odnosi się głównie do zwierząt.

- Istnieje pojęcie zachowania stadnego – stwierdził doktor Ormon, oddając lornetkę. – „Stado” sugeruje brak inteligencji i świadomej myśli, podczas gdy horda kojarzy nam się z zachowaniami agresywnymi. A przynajmniej z zagrożeniem dla społeczności, która potrafi w ogóle nazywać jakoś najeźdźców.

A więc nie, te dwa słowa znacząły różne rzeczy.

Crain mógł to zaakceptować. Nie dlatego, że żywił podobne przekonanie, ale dlatego, że dawny porządek wydawał mu się czymś dobrym: wykładowca i student, zmierzający do wspólnego celu.

To właśnie dlatego znajdowali się tutaj, sto trzydzieści kilometrów od obozu.

Posiadali rodziny, do których oczywiście musieli wrócić, ale ponieważ obaj dojeżdżali do pracy, na początku ich jedyną opcją było zaszyć się w piwnicy siedziby wydziału antropologii. Jednak łódzka w pokoju socjalnym nie mogła wystarczyć dwóm osobom na długo.

Crain usiłował postrzegać tę sytuację jako powrót do prymitywnych czasów. Celem plagi było zdziesiątkowanie ludzkości. Dni wypełniały teraz polowania i zbieranie, a nie książki i walka o stopnie naukowe. Przetrwanie znowu polegało na zdobywaniu pożywienia. Następne dwa pokolenia miały nie doświadczyć luksusów, specjalizacji ani spo-

łecznych podziałów. Nadzieja na to, że niedługo rozkwitnie ekonomia oparta na wymianie była kpina; zęby i pazury – to przez dłuższy czas będzie główny argument w dyskusjach. Do wydania potomstwa – a zarazem zapewnienia przetrwania całemu gatunkowi – zdolne będą tylko najsilniejsze jednostki.

Doktor Ormon uważał tego typu rozmyślenia za jałowe, jednak kiedy dwa dni później wyszedł z toalety (główny gabinet, ha!), na jego twarzy malował się jakiś intensywny wyraz, a oczy niemal lśniły mu z podekscytowania.

- Co? – zapytał Crain, przekonany, że wybito okno.

- To wciąż ma znaczenie. Cała nasza... to wszystko. Cała nasza praca, nasze badania, stopnie naukowe. To jest instrukcja, przewodnik, rozumiesz?

Crain milczał, przyglądając się wiszącej na ścianie mapie Ameryki z epoki Paleolitu.

To było w stylu doktora Ormona.

- Twój drugi rozdział – kontynuował wykładowca. – Ten jeden przypis... znajdował się na samym wstępie. W części, którą nazwałem chyba naciągana.

- I efekciarską – dodał Crain.

Teraz, w świecie postapokaliptycznym, mogli nazywać rzeczy po imieniu.

- Chodzi mi o przypis dotyczący dostępnych źródeł białka.

Crain zmrucił oczy, próbując przypomnieć sobie dokładną treść swojej pracy doktorskiej. Drugi rozdział rzeczywiście był słowną dżunglą.

To tam Crain musiał odnieść się do wzajemnie wykluczających się teorii na temat powodów, dla których różne rywalizujące ze sobą afrykańskie grupy, które pretendowały do tytułu „człowieka”, osiągnęły pozycję wyprostowaną i zaczęły chodzić na dwóch nogach.

Crain uważał, że z uwagi na przerzedzanie się lasów oraz brak owłosienia na ciele, matki musiały zacząć nosić swoje młode. Nie miały wyboru i musiały wstać.

Z teorią tą wiązało się założenie, że wczesny człowiek – dość mocne słowo na określenie ciekawskiej małpy o specyficznej budowie nadgarstka i miednicy – podczas polowań potrafił całymi dniami ganiać swoją ofiarę. Chodziło o to, żeby zabiegać ją na śmierć.

Taki styl życia wymagał, aby całe stado przemieszczało się z miejsca na miejsce (właściwym określeniem na tego rodzaju zachowania byłby „spryt”, ale Crainowi zawsze zbyt kojarzyło się ono z hazardzistami i wynalazcami). Żadnych straży i łózek, do których można by wrócić, a w związku z tym również żadnych nianiek jak na przykład u szakali, surykatek czy większości ssaków.

Oznaczało to, że pierwotni ludzie zabierali dzieci na każde polowanie. Musieli trzymać je blisko przy sobie podczas biegu. A skoro przytrzymywali je jedną parą kończyn, to nie mogli już używać jej do poruszania się.

Eleganckie wnioskowanie.

Zdolność do przeprowadzania skutecznych pościgów te dwunożne istoty zawdzięczały niespotykanym wcześniej u innych zwierząt gruczołom potowym, pojemnym płucom i szerokim nozdrzom. W teorii Craina najlepsze było to, że wszystkie jej elementy zostały opracowane już wcześniej. Wystarczyło jedynie uporządkować je, opisać w rozdziale drugim doktoratu i ukłonić się przed publicznością.

Ponieważ jednak chodziło o antropologię, a skamieliny z badanego okresu były nie tylko rzadkie, ale też bardzo przypadkowe, pojawiały się oczywiście teorie alternatywne.

OLBRZYMY

(Giants)

PETER WATTS

Tyle eonów, przespanych, podczas gdy wokół niego zwił się wszechświat. Dla ludzkich oczu jest martwy. Nawet maszyny ledwie odnotowują procesy chemiczne wciąż zachodzące w komórkach: prastarą cząsteczkę siarkowodoru zastygłą w hemoglobino-wym uścisku albo wprawiony w ruch dwa tygodnie temu elektron ślamazarnie przesuwający się wzdłuż jakiejś ścieżki metabolicznej. Na Ziemi istniało kiedyś życie pod powierzchnią, w skałach sięgających tak daleko w głąb globu, że dochodzących niemal do warstwy płaszczu. W trakcie jednego oddechu tamtych mikrobów powstawały i upadały imperia, a i tak w porównaniu z Hakimem ich życie upływało w mgnieniu oka. (W porównaniu z każdym z nas. Byłem dokładnie tak samo martwy jak on, jeszcze tydzień temu).

Ciągle nie jestem pewien, czy wybudzenie go to dobry pomysł.

Płaskie linie drżą w wiecznym marszu wzdłuż osi x-ów; cząsteczki zaczynają się ze sobą zderzać, temperatura rdzenia podnosi się o kolejne ułamki stopni. W podwzgórzu błyska samotna iskierka; inna przeciska się przez korę przedczołową (przelotna myśl, tysiące lat po upłynięciu jej daty przydatności, uwolniona z bursztynu). Spływające leniwie losowymi ścieżkami miliwołty wywołują skurcz powieki.

Ciało wzdryga się. Próbuje oddychać, ale jest jeszcze zbyt wcześnie: brakuje tlenu, czysty H₂S blokuje przepływy i wygłusza maszynę życiową do niemal niedostrzegalnego poziomu. Szymp zaczyna pompować nitrox; przez rurki z napisami „*Plucny*” i „*Żyłny*” przelewają się stada świetlików. Zimna, pusta łupina Hakima wypełnia się od wewnątrz światłem: czerwone i żółte izotermie, pulsujące arterie, tryliony budzących się na nowo neuronów pojawiających się jako błyszczące kropki wypełniające przezroczysty awatar w mojej głowie. Tym razem prawdziwy oddech. I kolejny. Palce Hakima kurczą się i drżą, wystukują na sarkofagu jakiś chaotyczny wojskowy marsz.

Pokrywa otwiera się. A chwilę później i jego oczy. Gałki przewracają się w oczodołach, niezdolne jeszcze do wyostrenia przekazywanego obrazu, zagubione we mgle zmartwychwstańczej demencji. Nie widzi mnie. Dostrzega przytłumione światła i niewyraźne cienie, słyszy słabe podwodne echo pracujących dookoła maszyn, ale jego umysł wciąż tkwi w przeszłości i terazniejszość jeszcze do niego nie dotarła.

Na górnej wardze pojawia się na chwilę suchy jak skóra język. Z zagłębienia w jednej z maszyn wynurza się rurka pojąca i lekko trąca policzek Hakima. Ten bierze ją w usta i odruchowo, niczym narodzone dziecko, zaczyna ssać,

Pochylam się, by znaleźć się w niewielkim obszarze, który można nazwać jego polem widzenia.

- Łazarzu, wstań.

Słowa dają mu punkt zaczepienia. Widzę, że nagle skupia wzrok, że za jego oczyma zaczyna się zbierać ciężar przeszłości. Widzę ładujące się na skutek mojego głosu wspomnienia i opowieści. Znika niepewność; jej miejsce zajmuje coś ostrzejszego. Hakim wpatruje się we mnie z grobu spojrzeniem twardego jak obsydian.

- Ty dupku – mówi – nie mogę uwierzyć, że wciąż jeszcze cię nie zabiliśmy.

Daję mu trochę czasu. Oddalam się do lasu, spaceruję po mrocznych, bezkresnych jaskiniach, a on uczy się na nowo żyć. Tu na dole ledwie widzę swoją wyciągniętą przed twarz dłoń: szare palce, gdzieś tam blade szafirowe pobłyski. Fotofory mienia się dookoła jak odległe konstelacje; każda gwiazda to blask biliona mikrobów, fotosynteza zastępuje fuzję jądrową. Na Eriophorze nie można się naprawdę zgubić – Szypm zawsze wie, gdzie jesteś – ale tu, w ciemnościach, można przez chwilę cieszyć się iluzją.

W końcu jednak nie mogę dłużej zwlekać. Kiedy wznoszę się przez głębiny asteroidy, skanuję sygnały z miriad kanałów. Hakima znajduję na mostku na sterburcie. Przyglądam się, jak mozolnie wprowadza kolejne pytania, przetwarza odpowiedzi, ustawia jeden na drugim rozklekotane stopnie informacji mające go doprowadzić do zrozumienia. W tym układzie nie brakuje gwieздnego gruzu; materiału do budowy na pewno nie będzie za mało. Wystarczy jednak wywołać przekaźniki... i co? Okazuje się, że nie ma w nim żadnego rusztowania, żadnej choćby ledwie rozpoczętej konstrukcji bramy do skoku, żadnych prac wydobywczych na asteroidach czy floty przemysłowej. Więc dlaczego...?

Dynamika układu. Punkty Lagrange’a. Po tej stronie nic nie ma, chociaż widać przynajmniej trzy ciała planetarne na... o rany, te *orbity*...

Nasza *orbita*...

Kiedy wreszcie do niego docieram, stoi nieruchomo, wpatrując się w zbiornik taktyczny. W centrum wyświetlacza unosi się jasny, bezwymiarowy punkt: Eriophora. Po lewo widnieje ciemny, masywny lodowy olbrzym, a z tyłu kipi inny, czerwony i o kilka rzędów wielkości większy. (Gdybym wyszedł na zewnątrz, ujrzałbym żarzącą się barierę przesłaniającą połowę wszechświata, ledwie delikatnie zakrzywiającą się przy horyzoncie; zbiornik redukuje ją do kulki wielkości wiśni pływającej w sporym akwarium). Przez najbliższą okolicę przemykają po odchylających się trajektoriach miliony gwieздnych resztek o rozmiarach sięgających od kamyków do planet. Nie leciemy jeszcze nawet relatywistyczną, a i tak Szypm nie zdążył ich jeszcze wszystkich oznakować.

Żadne z tych oznaczeń i tak nie ma sensu. Jesteśmy oddaleni o tysiąclecia od najbliższych ziemskich konstelacji, wszystkie alfabet, wszystkie konwencje astronomicznej nomenklatury zostały wyczerpane na gwiazdy, które już wcześniej mineliśmy. Może kiedy spaliśmy, Szypm wymyślił własną taksonomię, mieszaninę ascii i hexu tworzącą wyrafinowany bełkot zrozumiały jedynie przez niego samego. Może uznał to za dobre hobby, choć podobno jest zbyt głupi na takie rzeczy.

Większość z tych widoków mnie ominęła, gdyż nie śpię zaledwie od mniej więcej stu budów. *Moje* mitologiczne zasoby są dalekie od wyczerpania. Nadałem swoje własne nazwy tym potworom.

KONIEC KOŃCA WSZYSTKIEGO

(The End of the End of Everything)

DALE BAILEY

Ben i Lois Devine po raz ostatni widzieli Veronicę Glass, powszechnie uznaną artystkę specjalizującą się w okaleczeniach, na samobójczym przyjęciu w Błękitnych Klifach, stanowczo dla nich zbyt drogiej kolonii artystycznej. Trafili tam wyłącznie wskutek pewnego zbiegu okoliczności. Otóż Stan Miles, któremu Ben dwa razy świadkował na ślubie, zaprosił ich do swojego plażowego domu, by doczekali tam końca wraz z MacKenzie – jego nową żoną – i Cecilią, jej dziewięcioletnią córką. Mimo że Devine'owie nie przepadali za świeżo upieczoną małżonką Stana – którą według określenia Lois wziął sobie oddając starą w rozliczeniu – to przecież uwielbiali jego towarzystwo i postanowili się dla niego postarać. Poza tym pokusa obserwowania pochłaniającego wszystko zniszczenia w tak znakomitym gronie okazała się, przynajmniej dla Bena, pokusą nie do odparcia. Na życie zarabiał zresztą jako niezbyt szeroko znany – głównie w kręgach akademickich – poeta, więc gdy Stan zapewnił, że doskonale wpasują się w otoczenie, nie było to stwierdzenie do końca niedorzeczne.

Pojechali w niedzielę, słuchając po drodze stłumionych dźwięków koncertu fortepianowego Mozarta w wersji surround. W ostatnich dniach zniszczenie pochłonęło już większą część miasta i z obu stron napierało na opustoszałą drogę międzystanową: rdza rozkładała na pierwiastki wraki porzuconych samochodów; sterczące, nagie szkielety drzew znaczyły szary horyzont; popielaty pejzaż wyglądał na wypalony, choć ani przez chwilę nie płonął tam ogień. Miejscami szosa stawała się prawie nieprzejezdna. Jechali powoli i kiedy dotarli ostatecznie na zachwaszczony, zwirowy podjazd plażowego domu, gdy wysiedli i przeciągnęli się, zrobiło się już późno.

Tu okolica wciąż była żywa. Doleciały ich westchnienia fal ukrytych za domem, wielką budowlą o ścianach z kamienia i parterowych skrzydłach, wyciągających się naprzód po obu stronach podjazdu. Zapach powietrza ubarwiała ostra woń oceanu. W oddali skrzeczały mewy. Zapadał chłodny letni wieczór, a słoneczny zachód słońca rzucał czerwone plamy na wąskie okna domu.

- Już myślałem, że nie dojedziecie – zagrzmiał Stan z ganku, gdy wyjmowali bagaże z samochodu. - Chodźcie no tutaj, niechże was ucałuję!

Stan – brodaty, korpulentny, włochaty jak niedźwiedź – nie rzucał słów na wiatr. Obdarzył oboje drapiącym, mokrym buziakiem prosto w usta, Bena grzmotnął w plecy, a uwolnił Lois od walizki, chwytając ją mocno swoją dłoń o prosto obciętych paznokciach. Odziany w luźną, falującą szatę, przypominał w gęstniejącym mroku ducha. Poruszając się z zaskakującym – jak na tych rozmiarów mężczyznę – wdziękiem, zagonił oboje do środka. Rozpięty pod szyją kołnierzyk Stana odsłaniał poskręcane kosmyki siwych włosów.

Torby gości rzucił w beładnym stosie tuż za drzwiami i pognął ich dalej, do rozpalonego wnętrza dwupiętrowego, szklanego atrium. Ta część domu nachylała się zawadiacko nad ciemnymi, wzburzonymi wodami, dającymi się raczej wyczuć niż zobaczyć. Benowi – jak zawsze – zakreśliło się w głowie, odniósł niepokojące wrażenie, że cały budynek może lada chwila zsunąć się z urwiska i runąć w dół, prosto na białą, skalistą plażę. Pod sufitem, wysoko w górę, szeptały wiatraki. Na kominku – w którym spokojnie dałoby się upiec dzika w całości – stały dwa Oscary za najlepszą scenografię.

Stan rzucił się na niską, białą kanapę i zaprosił ich machnięciem na stojące obok siedziska.

- Więc doczekaliśmy dni ostatnich – obwieścił jowialnie. - Cieszę się, że przyjechaliście.

- Nam też jest bardzo miło – odparł Ben.

- Jakież wieści od Abby? - spytał gospodarz.

Abby była poprzednią żoną Stana – to właśnie z jej okazji Ben po raz pierwszy wcielił się w rolę świadka – i już sam dźwięk imienia kobiety wystarczył, by coś ścisnęło go za serce. Kiedy opadł wreszcie pył rozwojowej bitwy, okazało się, że Stan dostał dom w nadmorskiej kolonii, a Abby przypadł ten w mieście. Tyle że właśnie w tej chwili ostatnie dzielnice miasta poddawały się zniszczeniu. Podmuch smutku zakolysał Benem. Nie lubił myśleć o Abby.

- Zniszczona – powiedziała Lois. - Została już zniszczona.

- Ach, wiedziałem. Przykra sprawa – westchnął Stan. - Ale to i tak tylko kwestia czasu, prawda? - pokręcił głową – Naprawdę świetnie, że postanowiliście przyjechać. Stęskniłem się za wami.

- A jak się miewa MacKenzie? - spytała Lois.

- Lada moment powinna do nas zejść. Razem z Cecy szykują się na imprezę.

- Imprezę?

- Urządzamy je w kolonii codziennie. Spodoba się wam, sami zobaczycie.

Chwilę później MacKenzie – znali ją tylko pod tym imieniem lub nazwiskiem, nigdy nie przedstawiała się bardziej wyczerpująco – zeszła po pozbawionych poręczy, krętych schodach z galerii powyżej. Była smukłą blondynką z wysoko uniesionymi piersiami; twarz miała bladą, zimną i pozbawioną wyrazu jak marmurowe popiersie. Ubrana była identycznie jak Stan w połyskujące jedwabie; za matką kroczyła dziewięcioletnia Cecy, uroczą ponad swój wiek dziewczynką, odziana tak samo jak MacKenzie i Stan. Ben podniósł się z miejsca.

Lois wstała i ciałniej otuliła ramiona szaleem.

- MacKenzie – przywitała się z gospodynią – wreszcie mamy okazję znowu się spotkać.

- Miło widzieć was oboje – odpowiedziała MacKenzie.

Musnęła policzek Bena błyszczącymi wargami.

Lois poddała się przelotnemu uściskowi. Zaraz potem przyklęknęła i wzięła w ramiona Cecy.

- Co słychać, kochanie? - spytała i Ben, chociaż gardził stereotypami, dorzucił pierwsze słowa, jakie przyszły mu do głowy.

- Rany Julek, aleś ty wyrosła!

Zresztą również życie Bena pod niektórymi względami toczyło się stereotypowo. Tworzona przez niego poezja, co prawda niezupełnie bezwartościowa, nie przetrwała jednak nowych, nieznanymi szlaków – aczkolwiek być może po prostu nie było już żadnych nowych szlaków do przetarcia, jak tłumaczył niekiedy słuchaczom w salkach niewielkich uniwersytetów podczas swych wieczorków autorskich i wykładów. Poezja jako sztuka już się wyczerpała, jej czytelnicy stali się wymierającą rasą w umierającej epoce. Zresztą i tak nigdy nie zdołał się przebić. Jego wiersze rozbrzmiewały zduszonymi prozodiami w niskonakładowych periodykach, jego życie zamykało się w kazirodczym środowisku akademickich humanistów, a Ben od czasu do czasu ulegał podsuwanym przez ten tryb egzystencji słabościom: popełniane mimochodem zdrady, nadmierne spożycie alkoholu i prochów. Także jego małżeństwo przechodziło lepsze i gorsze okresy. Ben co prawda nie popierał decyzji Stana bezwarunkowo – uwielbiał Abby i bardzo mu jej teraz brakowało – lecz potrafił zrozumieć powab nowości, a sam także nie pozostawał obojętny na wdzięk i urodę MacKenzie. Być może to ostatnie tłumaczyło napięcie,

CENZOR, TWÓJ BRAT (3)

MACIEJ PAROWSKI

Czterdzieści lat temu dwutygodnik „Płomyk” wydrukował mi opowiadanie. Chłopak broni tam dziewczyny zaczepianej przez chuliganów. A co, zakochałeś się? – pyta prowokacyjnie jeden z nich. No właśnie, szepcze do siebie mój zuch, przyjemniej byłoby ostanąć jakąś ślicznotką. Ale redaktorka skreśliła tę niewinną skargę. Chłopcy tak nie myślą – oznajmiła z absolutną pewnością.

Tak rodził się feminizm i polityczna poprawność, a z nimi cenzura kameralna, sprywatyzowana, więc bliska doskonałości. Cenzura naszych liberalnych czasów. Chodzi o to by zabić mema, zniszczyć myśl w zarodku, nie dopuścić do jej artykulacji. Nie trzeba do tego represyjnego państwa, ani chorego systemu sięgającego po brudne triki i maskującego nieprawę pochodzenie. Wystarczy grupa interesów, wpływową ideologią i gromadka wyznawców, gotowych prac nam mózgi dla naszego dobra.

*

Akurat fantastyka nieźle sobie z tym radzi. Dick napisał „Przedludzi” – dramatyczne opowiadanie sprowadzające problem aborcji do zbrodniczego absurdu mordowania zbędnych dziesięciolatek, a Marek S. Huberath badał problem metafizycznie w nagrodzonej Zajdlem „Karze większej”. Na Dicka warczała za to Ursula Le Guin; na opowiadanie Marka wylali pomyje obrońcy fantastyki aideologicznej, niewciskającej ludziom religijnego kitu.

Szydźcie oczywiście. Najlepiej rozprawił się z postulatami ideowej bezstronności niezrównany Stanisław Jerzy Lec: *I bezstronni nie są bezstronni – napisał. – Są za sprawiedliwością.*

*

Czytelnicy często pytają, czy odrzucałem opowiadanie ze względów cenzuralnych. Mój Boże, gdybym odmówił druku opowiadania antysemickiego, byłby to akt cenzury, czy mądry wybór rzetelnego redaktora? A antykatolickiego?

Tak, zrezygnowałem dwadzieścia lat temu z górą z opowiadania „Bóg SA”, które przedstawiało Kościół jako wredną korporację i w ogóle jeździło po religii jak po burej

suce. Prosiłem o radę Jęczyńską i Ramusa sugerując, żeby może puścić rzecz z komentarzem, jako przykład ekscesu, ale popukali się w czoła. *Zajrzyj do Urbanowego „Nie”, powiedział Leszek, tam masz na co dzień to samo.* Nawiasem mówiąc, za schyłkowego Gomulki był na nazwisko Urbana cenzuralny zapis (podobno z powodu jego ostentacyjnego cynizmu) i mógł drukować tylko pod pseudonimami. W stanie wojennym też to robił, ale z innego powodu.

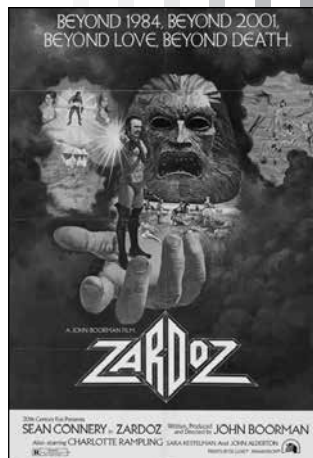
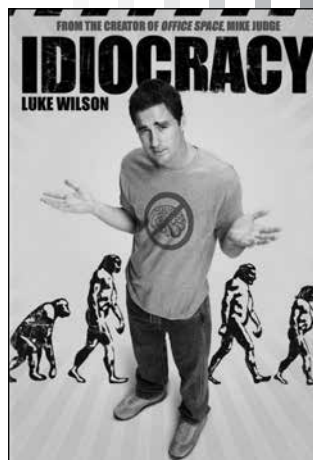
*

Na tegorocznym Pyrykonie Jacek Ingłot prowadził panel o granicach w literaturze i trochę się pospierał. Jemu chodziło o granice,

które wyznaczają nam inni, mnie o te, które kreślimy (powinniśmy wyznaczyć) sami sobie. W wizji Jacka twórca to osobnik, który musi z siebie coś koniecznie wyrzucić, a inni mu przeszkadzają. Ja sądzę, że dziś chodzi o to przede wszystkim, żeby gadać do rzeczy.

W wielkich heroicznych bojach o „Golgota Picnic”, o pseudo-dzieło tego pana, który na golasa ocierał się o krzyż, nie chodzi o nic innego, jak o odwrócenie uwagi. I o przemoc sym-

boliczną wobec inaczej myślących, inaczej wierzących. Kult czy wręcz swoisty obowiązek nieustannego prowokowania, łamania tabu, obrazoburstwa narzucają ludzi, którzy chcą nam coś zabrać, a nie czymś nas obdarzyć. Dlaczego zawsze chodzi o cudze tabu? Czy kiedy protestujemy przeciw obrazowi Matki Boskiej zrobionemu ze słoniowej kupy albo przeciw zanurzaniu krzyża w urynie, naprawdę wciela się w nas brzydki duch cenzora sztuki, który innym krępi ręce i zatyka usta? Jest taka prosta odpowiedź na pytanie o granice: zrobicie podobny myk z gwiazdą Dawida, z półksiężycem?



A gdyby nawet, to cóż światu po takiej szemranej odwadze?

*

Kiedyś istotę przeciwnika, naturę odwagi i reguły buntu rozumiało nawet dziecko. Zasady blokowania dostępu do pewnych książek i filmów na polskim rynku były proste jak drut i czytelne jak otwarta księga. Wiadomo było z góry, jakie dzieła nie mają szans – wszak chodziło o podtrzymanie szeroko rozumianego „spokoju w Warszawie”.

Nie tolerowano ekstrawagancji obyczajowych, pornografii, ba – spokojna erotyka też miała szlaban. Z tych powodów polska publiczność nie oglądała w kinach „Ostatniego tanga w Paryżu”, „Emmanuelle”. Natomiast „Salo czyli 120 dni Sodomy” skreślano dodatkowo ze względu na sadystyczne sceny przemocy i trywializowanie faszystowskiego perwersji seksualnej. Za to samo czerwone światło miał „Nocny portier” i po części „Zadanie specjalne” – opowieść o policjancie polującym na zabójcę homoseksualistów. Gorszono się przemocą w „Mechanicznej pomarańczy”, choć po prawdzie ograniczano dystrybucję tego filmu ze względu na drastyczność nawet w Anglii, sterował tym sam Kubrick. U nas „Diabłu” Żuławskiego darowano by może perwersję i okrucieństwo, gdyby nie fakt, że sługą Szatana w tym filmie jest carski szpieg.

„1984” i „Folwark zwierzęcy” Orwella w wersji literackiej i filmowej negliżowały nieczyste gry Sowietów i komuny. „Doktor Żywago” odstaniał, cóż z tego, że łagodnie, dynamiką i okrucieństwa bolszewickiego puczu. Były bez szans. Tak jak „If” Lindsaya Andersona, który przed 1968 rokiem proroczył zwiastował wielką społeczną rewoltę. Film „Ręce do góry” Skolimowskiego metaforyzował PRL jako jazdę wokół dworca po ślepych torach i straszył wspaniałą sceną z czterookim Stalinem. Położono go na półki na dwadzieścia lat, a i potem mało kto rzecz obejrzał.

Nie mieliśmy zachodnich opowieści o grach wywiadów, nie oglądaliśmy Bondów. Szpiegowskie arcydzieło Hitchcocka „Północ, północny zachód” zaliczyłem w DKF Kwant dopiero jesienią 1989. Tak zwana szeroka widownia do dziś zna film tylko z telewizji. Z dużym opóźnieniem poznawaliśmy całego literackiego i filmowego Le Carré, bo w skandaliczny sposób zrównywał moralnie agentów naszej i tamtej strony. U schyłku komu-

ny to akurat stało się zaletą. Podobnie nazwy Białego Domu kiedyś symbolicznej siedziby wroga, zaczęto używać wobec gmachu KC PZPR na rogu Jerozolimskich i Nowego Świata. Nie była już trefna teoria konwergencji dowartościowywała padającą komunę, więc nazwa przestał być obraźliwa.

Fantastyczny film „Zardoz” przepadł nie tylko z powodu niesłusznej, pesymistycznej historiozofii (przypominającej trochę tę z „Wehikułu czasu” Wellsa). Kontrowersje budził Connery, etatowy odtwórca Bondy, skutecznego przeciwnika Sowietów w heroicznym okresie tej postaci. Z powodu dziejowego sceptycyzmu i zimnowojennych nastrojów długo nie ukazywał się „Człowiek Ilustrowany” Bradbury’ego i nie sprowadzono filmu nakręconego na podstawie opowiadań z tej książki.

Małe szanse miały horrory, co wynikało z antymetafizycznych kaprysów władzy i jej estetycznych ambicji. Rzeczywiście nie



29.11.2007 – polska premiera SciFi Channel

szybowало to kino wysoko; czasy „Lśnienia”, „Harry’ego Angela”, „Wywiadu z wampirem” dopiero do nas szły. Na początku lat 70. wyjątek zrobiono dla filmu „Omen” z Gregorym Peckiem, w którym syn Szatana trafia do Białego Domu. Gdybyż chodziło o Kreml – inna byłaby rozmowa.

Traktujący o aferze Watergate film „Wszyscy ludzie prezydenta” musiał przepaść, bo niósł idiotyczną sugestię, że prezydent może wylecieć na zieloną trawkę z tego jedynie powodu, że podsłuchiwał rywali i nie chce się przyznać. W PRL wszyscy byli na podsłuchu. Film „Doktor Strangelove, czyli jak przestałem się bać i pokochałem bombę” okazał się nie do przyjęcia mimo sarkazmu wobec Zachodu, bo nonszalancko traktował wojnę atomową, co po naszej stronie uchodziło za herezję. No i karygodnie szy-

dził ze szpiegowskich zapędów sowieckiego dyplomaty.

Wiadomo też, czemu nie obejrzelśmy na dużym ekranie odprężeniowej jakby nie było „2010: Odysei kosmicznej”. Załoga sowieckiego kosmolotu współpracującego z Amerykanami nosi tam nazwiska opozycjonistów, czyli dysydentów. Nie mam pojęcia natomiast, dlaczego nie zakupiono do kin filmów takie jak „Mad Max”, „Ciemny kryształ”, „TRON”, „Coś”, „Blade Runner” (ten przebił się z dwunastoletnim opóźnieniem). Cudem sforsowały bariery „Terminator”, „Ucieczka z Nowego Jorku”, no i „Imperium kontratakuje” – ten ostatni w oczywisty sposób zagrożony cenzuralnie, bo nawiązywał do sloganu Reagana o „imperium zła”.

Szczęśliwie gorący oddech publiczności wideo na plecach i świadomość kasy, która może przepaść, przebudziły kiniarzy, a i opór cenzury zelżał. Fala fantastycznego kina wylała się na Polskę.

*

Cenzura niby upadła, ale na nasz repertuar wpływa teraz wiele kapryśnych lobby; decyzje na tak lub na nie, podejmowane są z uwzględnieniem reguły różnych poprawności. Dlatego chcę czytelników zainteresować losami przezabawnego filmu „Idiokracja” („Idiocracy”, 2006), nakręconego przez Mike’a Judge’a, znanego m.in. z szalonego serialu „Beavis and Butt-head”.

Film jest wizją pseudoliberalnej, zidiociałej Ameryki przyszłości, sterowanej przez pazerne koncerny zblatowane z władzą. Bohater, przeciętniak z naszych czasów, budzi się, niczym Maks i Albert z „Seksmisji”, w Stanach, które doznały cywilizacyjnego i kulturowego cofnięcia. Wśród zwalów śmieci poruszają się bezmyślni konsumenci, agresywni, szowinistyczni, porozumiewający się zwulgaryzowanymi sloganami – reklamy zastępują im naukę, a nędzna rozrywka politykę. Prezydent – pajac, wrestler i gwiazda porno – zarządza tą masą upadłościową, w której nikt nie robi tego, co do niego należy, inteligenci wymarli czekając na lepsze czasy, a lumpy mnożą się jak króliki.

Byłoby to przerażające, gdyby nie było zarazem piekielnie zabawne. Zbudowany z setek gagów film parodiuje te tendencje społeczeństwa masowego (bo nie obywatelskiego), jakie widać dziś gołym okiem i nie się przestrożę, której nie wolno lekceważyć. Nie wiem, czyja decyzja sprawiła, że ten film nie trafił do naszych kin. Koniecznie powinniście go odszukać i pokazać innym. Może na tegorocznym Polconie? ■

WIELKA WOJNA Z LAMUSA

Przepowiednie na rok 1914 nie wyglądały źle: czterdzieści dni upałów w lecie, doskonałe połowy karpi. Wojna zapowiadana w 1913 nie nadeszła i jasnowidze dali sobie z nią spokój. Rzeczywistość (oraz Gavrilo Princip) miała jednak inne plany.



Agnieszka
Haska



Jerzy
Stachowicz

Wybuch wojny światowej nie mógł przejść niezauważony wśród pisarzy SF i popularyzatorów nauki; potencjalne konflikty i nowe rodzaje broni stanowiły wodę na ich fabularny młyn. Wiele wynalazków dotąd obecnych jedynie na kartach powieści, zaczęło pojawiać się na polach bitew, a sama wojna stała się inspiracją do tworzenia nowych fantazji.

ZAUWAŻONO NIEPRZYJACIELSKI BALON

Pisarze fantastyczni przepowiadali wielką wojnę już dawno – wystarczy wspomnieć różne produkcje Wellsa, „In the Final War” (1896) Louisa Tracy’ego, gdzie Niemcy i Francja atakują Wielką Brytanię, a Ameryka walczy z Rosjanami, czy „Inwazję 1910 roku” (1906) Williama Le Queksa. W przededniu światowego konfliktu, w czerwcu 1914 roku w magazynie „The Strand” ukazała się nowelka Arthura Conan Doyle’a „Danger!”, opisująca walkę Anglii z niejaką Norlandią. Co prawda Anglikom udaje się inwazja lądowa, ale Norlandia ma w zanadru dużo łodzi podwodnych terroryzujących wyspiarzy i odcinających ich od dostaw. Wyspy Brytyjskie stoją na krawędzi wielkiego głodu, kiedy zostaje im zadany ostateczny cios w postaci norlandzkiej torpedy zatapiającej liniowiec należący do armatora White Star, co zmusza Anglię do kapitulacji.

Kiedy okazało się, że wojny nie trzeba już wymyślać, z początku pisarze potraktowali ją jako przyczynek i tło do swych opowieści. Przykładem może być amerykański twórca opowieści grozy, **Robert W. Chambers**, autor słynnego „Króla w Żółci”. W jego powieści „The Dark Star” z 1917 roku mamy do czynienia z dziewoją w opałach, przypadkowo zamieszana w sprawę kradzieży tajemniczego klejnotu Czarnej Gwiazdy. Wojna pojawia się tutaj we wtrąconych mimochodem zapychaniach: *Jak się zachowa Ameryka?* Inną strategię przyjęła sufrażystka, socjolożka i pisarka **Charlotte Perkins Gilman** w drugiej części dylogii o utopijnej krainie Herland „With Her in Ourland” (1916, wydanie książkowe 1997). W tomie pierwszym do Herlandu – krainy zamieszkałej wyłącznie przez kobiety – trafia aeroplanem trzech studentów. Panowie spodziewają się niewiast, które będą mogli zdobywać lub otaczać opieką i przydzielają sobie role nauczycieli pokazujących paniom, kto tu rządzi. Ku ich zaskoczeniu, kobiety nie są ani uległe, ani morderczo nastawione do przybyszów, a ich świat wygląda na zdecydowanie lepszy od tego, z którego przybyli. Panowie uczą się języka, zwyczajów i nawet zdobywają małżonki. Problem w tym, że partenogenetycznie rozmnażające się kobiety nie za-

bardzo wiedzą, o co chodzi z nocą poślubną. O ile główny bohater, Van, cierpliwie podchodzi do swej żony Ellador, o tyle jego kumpel Terry próbuje swoją ślubną zgwałcić i zostaje wyrzucony z Herlandu. Van i ciekawska Ellador podążają z nim do prawdziwego świata, pogrążonego w wojnie, co daje przyczynek do porównań. Ellador jest przerażona okropnościami konfliktu zbrojnego, a jednocześnie wkurza ją, że uczeni, z którymi próbuje rozmawiać, uważają, że nadaje się tylko do szorowania garów. Wreszcie ona i Van wracają na stałe do Herlandu.

NA WYŻNIE WYMAGAŃ

Wśród fanów nowoczesnej technologii, których wojna zainspirowała do prezentacji szeregu fantastycznych pomysłów, był **Hugo Gernsback**, ży-

dowski emigrant z Luksemburga – wynalazca i wydawca popularnego magazynu „Electrical Experimenter”. Wówczas nie był jeszcze znany jako ojciec SF, lecz jako zręczny biznesmen, który potrafił zapalać do elektryczności przekuc na konkretne pieniądze. W czasie I wojny światowej Gernsback postanowił, że w jego magazynie – łączącym periodyk naukowy z poradnikiem dla radioamatorów i katalogiem zakupów wysyłkowych – pojawią się również artykuły, którym będzie bliżej do fantastyki naukowej. Uzasadniał to chęcią rozwijania wyobraźni prenumeratorów – w końcu co to za eksperymentator, który nie ma wizji technologii przyszłości. Od 1915 roku zaczął publikować artykuły, w których przedstawiane były najdziwniejsze wojenne wynalazki, a jego entuzjazm w tej dziedzinie wzrósł wraz z przystąpieniem USA do wojny. Okładki „Experimentera” zaczęły coraz bardziej przypominać te, które znamy z późniejszych magazynów Gernsbacka. Królują na nich niesamowite maszyny wojenne, których szczegółowe opisy zwykle można było znaleźć w numerze. Do najciekawszych należą

elektryczne, które były twórczym rozwinięciem koncepcji pierwszych czołgów, czy elektryczne strzelby, które miały być odpowiedzią na pierwsze miotacze ognia, a okazały się prefiguracją miotaczy laserowych.

Największe wrażenie robił ekstrawagancki pomysł na lądowe wykorzystanie okrętów US Navy. Olbrzymie pancerniki na gigantycznych kołach miałyby toczyć się po polach bitew rażąc wroga z dziesiątek dział i karabinów maszynowych. Zdaniem Gernsbacka amerykańska flota nie musiała brać udziału w działaniach wojennych na morzu, ponieważ floty brytyjska, rosyjska i francuska były wystarczająco potężne, by pokonać Niemców.



„NIEWIDZIALNA KORONA” WYDAWNICTWO ZYSK



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

JAKIMI SŁOWAMI SPRAWDZANE BYŁO
POCHODZENIE KRAKOWSKICH MIESZCZAN
PO STŁUMIENIU BUNTU W XIV W.?

Po dwustu latach Przemysł II odzyskuje koronę.

Na Królestwo jednak pada cień. Król zostaje brutalnie zamordowany. Granice przekraczają margrabiowie brandenburscy. Wojownicy starych bogów ostrzą grot strzał. Od północy na kraj patrzą żelazni bracia, kierując ostrza mieczy w chrześcijan. W Królestwie narasta przerażenie i zamęt. Nad pustym tronem złowieszczo kołują herbowe bestie, a jedynie obrońca zamordowanego władcy tkwi w lochu.

Wśród czytelników, którzy do końca września nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 5 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Zysk i S-ka.

„GWIEZDNY WOJOWNIK” WYDAWNICTWO UROBOROS



JAKI TYTUŁ NOSIŁA
NAJSŁYNIEJSZA FILMOWA
PARODIA „GWIEZDNYCH WOJEN”?

Załoga zebrana z łapanki wyrusza rozklekotanym złomem, by uratować Ziemię przed nadlatującą asteroidą. Kto zapomniał przykręcić działko, o co chodzi z czerwonym szlafrokiem i jaką rolę w tym wszystkim odgrywa księżniczka?

Wśród czytelników, którzy do końca września nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 5 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Uroboros.

„DZIELNICA OBIECANA” WYDAWNICTWO INSIGNIS



Insignis

JAKI TYTUŁ NOSI DEBIUTANCKA
POWIEŚĆ PAWŁA MAJKI?

Dwie dekady po Pożodze, globalnej zagładzie atomowej. Gatunek homo sapiens na powrót został sprowadzony do roli jednego z konkurentów w grze o przetrwanie. Zmieniło się wszystko. Tylko ludzie pozostali tacy, jak dawniej. Nowa Huta. Zaprojektowane i zbudowane od podstaw robotnicze miasto. XVIII dzielnica Krakowa. To tu, w podziemnych schronach, mieszkają ci, którzy przetrwali nuklearną apokalipsę. Każdy dzień oznacza dla nich walkę, każdy miesiąc przynosi nowe zagrożenia. Wśród strzępów cywilizacji przeżycie kolejnego roku zakrawa na cud.

Wśród czytelników, którzy do końca września nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 5 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Insignis.

„TOŻSAMOŚĆ RODNEYA CULLACKA” WYDAWNICTWO UROBOROS



AUTOR KSIĄŻKI JEST JEDNYM ZE
SCENARZYSTÓW FILMU O WOKALISIE
KULTOWEJ GRUPY ROCKOWEJ. JAKI JEST
TYTUŁ TEGO FILMU?

Czy warto się poświęcić, aby wyzwolić innych?

Richard Zonga, agent 8. kategorii, poznał sekret, który wywraca do góry nogami całą znaną mu rzeczywistość. Czy zdoła ujawnić prawdę w świecie, w którym być może nikt nie jest tym, kim się wydaje?

Wśród czytelników, którzy do końca września nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 5 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Uroboros.

ROZWIĄZANIA KONKURSÓW Z NUMERU 06/2014 „NF”

„Ujarmienie” Wydawnictwo Otwarte



Klasyczną powieścią SF z lat 70., w której pojawiają się strefy pozostawione przez obcych, jest „Piknik na skraju drogi” braci Strugackich.

Maciej Szyszkiewicz – Gdańsk
Rafał Kocoń – Warszawa
Bartłomiej Babczyński – Piotrków Trybunalski
Hubert Tumanowicz – Łobez
Krzysztof Wiernicki – Pułtusk

„Witajcie w Rosji” Wydawnictwo Insignis



Pierwszym polskim autorem, który napisał powieść w Uniwersum Metro 2033 jest Paweł Majka.

Albin Wierzbowski – Włocławek
Zuzanna Kiereś – Bochnia
Krystyna Kukula – Kraków
Anna Olesieńska – Bochnia
Emilian Wojnowski – Pułtusk

„Aldebaran”, „Betelgeza” Wydawnictwo Egmont



Pierwszym wydawcą oryginału komiksu „Aldebaran” było wydawnictwo Dargaud.

Rafał Brodowy – Katowice
Marek Łojek – Wisła
Marcin Wit – Świecie



Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

PYTANIA DOTYCZĄCE PRENUMERATY:

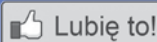
- TELEFONICZNIE: (w godz. 8.00–16.00): 22 27 81 727
- LISTOWNIE POD ADRESEM: Prószyński Media Sp. z o.o.,
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
- LUB NA ADRES E-MAILOWY: prenumerata@proszynskimedia.pl

ZASADY PRENUMERATY:

- prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy
- reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy
- koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.
- książka będzie wysłana z najbliższą wysyłką prenumeraty.

Uprzejmie informujemy, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Rzymowskiego 28, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz.U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).

polub nas
na facebooku



- wywiady
- recenzje książkowe
- nowości filmowe
- opowiadania

Nowa
Fantastyka



WWW.FANTASTYKA.PL

POZNAJ FANTASTYKĘ Z NAJLEPSZEJ STRONY

START OPOWIADANIA KSIĄŻKI CZASOPISMA HYDE PARK REDAKCJA



Nowa
Fantastyka

PORTAL MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI

ZALOGUJ SIĘ

ZOBACZ
NOWY WYGLĄD
I PRZETESTUJ
FUNKCJONALNOŚĆ

SKORZYSTAJ ZE
STALE AKTUALIZOWANEJ BAZY
DANYCH WYDANYCH W POLSCE
KSIĄŻEK FANTASTYCZNYCH

ZAMIEŚĆ
SWOJE
OPOWIADANIA,
ARTYKUŁY, RECENZJE

WEŹ UDZIAŁ
W DYSKUSJACH
POD TEKSTAMI
W HYDE PARKU

Nowa
Fantastyka

ADRES REDAKCJI:

ul. Rzymowskiego 28
02-697 Warszawa
Faks 22 27 81 775

E-MAIL:

nowafantastyka@fantastyka.pl

WWW.FANTASTYKA.PL

Wydaje Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28,
02-697 Warszawa

Prezes zarządu:
Maciej Makowski

Dział Promocji i Reklamy:
Artur Kaczorek, tel. 22 27 81 717
arturkaczorek@proszynskimedia.pl

Druk i oprawa:
ORTIS Sp. z o.o.,
86-050 Solec Kujawski, ul. Brukselska 8

Kolportaż:

Firma 2M Magdalena i Marek Szwed
ul. Poznańska 484, 05-850 Koprk
tel (22) 245-45-52

REDAKCJA:

Jerzy Rzymowski
redaktor naczelny/dział publicystyki
jerzyrzymowski@fantastyka.pl

Maciej Parowski
ojciec redaktor
maciejparowski@fantastyka.pl

Michał Cetnarowski

Dział Literatury Polskiej
michalacetnarowski@fantastyka.pl

Marcin Zwierchowski

Dział Literatury Obcej
marcinzwierchowski@fantastyka.pl

Katarzyna Osowiecka

Dział Graficzny
katarzynaosowiecka@fantastyka.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych,
w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo
do dokonywania zmian i skrótów. Za treść reklam
nie odpowiada.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Krystyna de Binzer, Wojciech Chmielarz, Paweł
Deptuch, Marek Grzywacz, Agnieszka Haska,
Andrzej Kaczmarek, Rafał Kosik, Joanna
Kulakowska, Bartłomiej Łopatka, Waldemar
Miaśkiewicz, Rafał Śliwiak, Łukasz Orbitowski,
Bartłomiej Paszyk, Przemysław Pieniążek,
Piotr Piękosz, Wawrzyniec Podrzućki, Jerzy
Stachowicz, Peter Watts, Jakub Winiarski,
Tymoteusz Wronka.

Szop Rocket na statku pirackim: „Będziemy
potrzebować haka tego gościa!”